ROK 1. — N^ER 6.

WARSZAWA. Dnia 29 Stycznia / 10 Lutego 1866 r.



ZORZA

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k, 44 (Złp. 29 g. 18).
Półrocznie „ — „ 90 (Złp. 6)	Półrocznie „ 1 „ 22 (Złp. 8 „ 4).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp 16 g. 8).
Kwartalnie „ — „ 45 (Złp. 3).	Kwartalnie „ — „ 61 (Złp. 4 „ 2).	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można **Zorzę:** w Warszawie w Redakcyi Nr. 1019 uli. Grzybowska, lub w Redakcyi Gazety Polskiéj Nr. 61 ulica Daniłłowiczowska i we wszystkich Kantorach Gazet, a na prowincyi w Królestwie po stacyach pocztowych.

SŁÓWKO O MACHINACH.

Machina w pospolitéj mowie oznacza coś wielkiego lub niezgrabnego, a *maszyna* coś bezmyślnego. Tak naprzykład *machina* człowiek, powiada się o człowieku ogromnéj tuszy; *maszyna* człowiek, znaczy, że sam do niczego niezdatny, tylko drudzy muszą nim kierować jako swojém narzędziem. Ale w języku naukowym *maszyną* lub *machiną* nazywa się każde w ogóle narzędzie, zapomocą którego wykonywać możemy czynność jakąś, tak aby ona najkorzystniejszy wydała skutek i aby to narzędzie było najdogodniejszym sposobem do wykonania téjże czynności. W tém znaczeniu maszyny znane być musiały od najdawniejszych czasów, każdy bowiem, mniéj lub więcéj dowcipny człowiek, mając wykonać jaką robotę, wyszuka sposobu ulżenia ręce lub nodze, barkom lub plecom, a to biorąc w pomoc jakieś narzędzie. Chce coś podnieść z miejsca nizkiego na wyższe, bierze wić, linkę, łańcuch i tym podobny, mocny a giętki przedmiot; obwiązuje ciężar jednym końcem owego giętkiego przyrządu, a za drugi koniec dźwiga i już mu łatwiéj i skuteczniéj dźwignąć. Niechno wić taką, a tem bardziéj linkę przeciągnie przez umocowany w górze wałek, a jeszcze lepiéj przez kółko z wrębem na brzegu—to ciężar dany łatwiéj mu przyjdzie podnieść, zamiast bowiem unosić go za koniec linki, wprost z ziemi w górę, będzie w tym ostatnim razie ciągnąć na dół. A będzie mógł go nawet ciągnąć uwiesiwszy się, a co jeszcze więcéj, może wcale nie ciągnąć, ale poprostu do zwieszonego końca linki ponawiesza ciężarków tyle, iż one przeważą ciężar dany do podniesienia i tenże pójdzie w górę bez dołożenia siły rąk robotnika.

I czemże będzie ta linka, wić lub łańcuch, użyte do obwiązania ciężaru?... oto machiną, która się zowie *sznurem*. A czem będzie linka, przeciągnięta przez kółko z wrębem po brzegu?.... także machiną, zwaną *blokiem*, a machiną dość pospolitą.

Kiedy mularz na rusztowaniu gdzieś pod dachem przez drążek gładki przerzuci linkę i sto-

jącemu na dole chłopcu każe za jeden koniec linki uczepić szafel z wapnem, a za drugi ciągnąć i tym sposobem wprowadza tenże szafel na górę... to urządził sobie niby *blok*. Gdy znów do tynkowania ścian urządza sobie drabinę wciąganą na sznurach, to prowadzi te ostatnie przez *bloki* zaczepione u belek. Takie również bloki zakłada cieśla pragnący przenieść ciężkie belki z ziemi na szczyty murów, a do ich wciągnięcia używa zazwyczaj nie ludzi lecz koni... i co dziwniejsza, konie idą sobie po ziemi, *np.* w prawo, a belki pędzą sobie het, gdzieś w inną stronę, bo ku górze.... Ot! piękna wygoda z tak prostego przyrządu... i pracę ludzką oszczędzi i nawet całkiem jéj nie potrzeba, bo zwierzęciem się wysłuży i pracuje się spokojnie na ziemi, a z tego skutek het, gdzieś w górze. Ot, i słusznie w pospolitéj mowie maszyna oznacza coś wielkiego: małeć to czasami kółko ten *blok*, a jakież ogromne przynosi skutki!

A czy takie skutki sprowadza tylko użycie bloka lub sznura?.. Wcale nie!.. Jest wiele maszyn podobnie prostych, jak dwie dopiero wspomnione, a podobnież, ba! nawet nieraz więcéj użytecznych — w umiejętnym zaś ręku, użyć się one dają w sposób najrozmaitszy.

Wróćmy na chwilę do wspomnionego wyżéj ciężaru.

Jakiemi jeszcze przyrządami, prócz sznura i bloka możnaby tenże ciężar podnieść?.. Różnemi.... Zależeć to może od tego, czy z nim potrzeba ostrożnie postępować czy jakkolwiek — czy dobry do niego przystęp, lub zły—czy spoczywa on wysoko, czy nisko —czy dłuższą lub krótszą odbyć ma drogę i t. p.

Rozpatrzmy się w tém cokolwiek, pamiętając zawsze, iż chcemy użyć narzędzi co najprostszych.—I tak:

Jeżeli ciężar leży głęboko, *np.* w rowie, studni, czy jakiéj przepaści,... to najdogodniéj będzie ustawić nad nim podpory, na tych położyć wał z korbą, a na tym wale zawiązawszy linę, spuścić wolny jéj koniec w głąb', i następnie, obracając korbą, przez nawijanie się liny nawiązanéj na wał, a tém samém przez jéj skracanie się, wydobyć uwiązany ciężar na górę.

Przyrząd taki nosi nazwę *windy* lub *kołowrota* — spotyka się zaś przy wielu studniach, przy układaniu drzewa w szychty, przy wyciąganiu rudy w kopalniach, przy wykręcaniu wiatraka do wiatru,... a zalicza się tu i wał z osadzonemi na sobie *kołami zębatemi* i *trybami* (zastępującemi miejsce linki, w jaką opatrzony jest zwykły kołowrot), i koło deptakowe czyli *szyba*, i koło wodne i wał ze skrzydłami u wiatraka.... więc i kółka tokarskie, szlifierskie, powroźnicze i t. p. przyrządy, w których, chociaż na wałku lub osi, nie ma kół zębatych tylko gładkie, ale te są połączone z innemi, zapomocą pasów.

Wracając teraz do naszego ciężaru: — jeżeli spoczywa on na ziemi, a ma być przeniesionym na nie wielkie wzniesienie, można na tém wzniesieniu oprzeć deski pochyło, i po takiéj pochyłości dość łatwo go wepchnąć. Taka pochyłość zowie się *równią pochyłą*—najprostszy zaś przykład téjże przedstawiają *legary* czyli drągi, po jakich wtaczają się beczki ciężkie na wóz... albo też drabina, po jakiéj wciąga się nieraz, przy przeprowadzce na piętro, sprzęty nie mogące wejść schodami—a będą wreszcie i schody same, które im więcéj pochyłe, tém wygodniejsze, im spadzistsze, tém przykrzejsze....

Jeżeli ciężar potrzeba tylko unieść, a dostateczny jest przystęp, to najłatwiéj będzie założyć podeń jednym końcem przedmiot wydłużony a sztywny, w drugim zaś końcu nim podważać.

Przyrząd to zwany *drągiem*, a znany powszechnie i wielce skuteczny.

Nie poruszysz olbrzymiego kloca choćby w sześć rąk, ale załóż drąg, a uniesiesz klocysko, nieledwie jednym palcem — garstką, byś ziemię zbierał, lub wydłubywał z gruntu... zakładasz łopatę, i w kilka chwil dół olbrzymi wykopiesz i górę usypiesz — nie sięgniesz na dach stajni, choćbyś i skoczył, i nie dorzucisz snopa słomy, choćbyś się i zamachnął... wziąłeś widły, i przerzucasz niemi snopy z wozu, het! na dach, aż miło...

A i kawał żelaza, do wyłamywania lodu, lub kamieni, jest drągiem; i cepy i podrywka rybacka—i dłuto i topór (gdy się niemi nie tnie, ale łupie) są drągiem—i patyczek nawet lub piórko, któremi wydobywam z zęba ość lub kruszynkę chleba... są drągiem.

Wracając poraz ostatni do naszego ciężaru, powiedzieć musimy, iż dwa jeszcze byłyby proste sposoby łatwego podniesienia, ale to w dwóch szczególnych przypadkach.

Najprzód, gdyby szło tylko o niewielkie jego uniesienie z miejsca, to najłatwiéj byłoby zasadzić podeń *klin* i podbić go.

Gdyby zaś chodziło o dowolne a delikatne podnoszenie i opuszczanie naprzemian ciężaru niewielkiego, najdogodniéj byłoby osadzić pod nim *śrubę* i kierować opuszczaniem i podnoszeniem przez podkręcanie téjże.

Podobnie tracze podbijają klin pod klocek, gdy tenże chcą unieść cokolwiek, a rękoma tego wykonać nie chcą lub nie mogą; podobnie unosi się siedzenie chodzące na śrubie w stołkach śrubowych używanych po biórach, zwanych *kobyłami*.

Jednakowoż należy tu zwrócić uwagę, iż obie ostatnie machiny, tak klin jak i śruba rzadko używają się do podnoszenia ciężaru — główném ich przeznaczeniem jest spajać lub rozdzielać części albo przedmioty do siebie należące. Tak *np.* dwie części łóżka osadzone w sobie zabija się klinem, aby lepiéj się zeszły, albo dla silnego powiązania ściąga się je za pomocą śruby — w prassie klinowéj, pomiędzy osadę a deski (między któremi leży massa przeznaczona do ściśnięcia) zabija się klin, aby się też deski lepiéj zeszły, zaś w prassie śrubowéj w tymże samym celu przykręca się mutry chodzące na śrubach.

Przeciwnie znów: jeżeli śrubę łączącą dwie części łóżka odkręcamy, a nie będzie ona mogła wysuwać się ze swéj osady, to śruba ta części łóżka zestawione rozepchnie,—tem bardziéj téż klin, jeżeli wbijany będzie nie z boku dwóch części zestawionych, ale pomiędzy nie: im więcéj będzie wchodził, tém bardziéj będzie rozpychał. A chcecie więcéj przykładów śruby, spojrzcie na śrubsztaki, śrubki wszelkiego rodzaju, grajcarki i t. p., a chcecie widzieć klin, popatrzcie na wszystkie narzędzia ostre, na noże, igły, dłutka, siekiery, piły, kolce, rożny i t. p. przedmioty. Nie będę wam tu już więcéj mówił. Powiedziałem po trosze o machinach prostych, o złożonych zaś długo trzeba mówić, i będę wam prawił po trochu. Na dziś wiecie tedy: o sznurze, drągu, kołowrocie, równi pochyłéj, klinie, śrubie — zowią się one machinami pojedynczemi, a przykłady ich każdy trochę myślący człowiek spotka co chwila w życiu codzienném. Trzeba jednak myśleć, rozważać, porównywać ze sobą wszystko, co się spostrzega, bo tylko tym sposobem można mieć o rzeczach zdrowe pojęcie, bo tym tylko sposobem można stawać się coraz rozumniejszym,— a kto ma swoje własne pojęcie, swój rozum, to dopiero jest sam sobą prawdziwym człowiekiem nie zaś maszyną bezrozumną, narzędziem przez kogoś nakręcaném. Tak to, bracia... maszyna— narzędzie jako środek, który dopomaga człowiekowi w jego pracach, jest wielkiém dobrodziejstwem, i znakomitéj wartości przedmiotem — ale maszyna-człowiek, jako istota bezmyślna, jako para rąk i nóg, jest gorzéj niż kawał zmurszałego drzewa, bo z takiego, nic co się zowie, nie wyrobisz — nie zda się on ani ludziom, ani sobie, i ciężko mu przyjdzie kiedyś zdawać rachunek z tego, gdzie podział duszę myślącą, którą go Stwórca obdarzył. *Jerzy K.*

PIEŚŃ ZARANNA.

O! jak świetnie ranne zorze
Na niebiosach lśnią,
Kiedy jeszcze w sennéj porze,
Wszystkie twory śpią.

Wiatr tak lekko muszcze wodę,
I zamgloną toń
Mąci z wolna; z niéj ochłodę
Czerpie niby w dłoń.

Leci potém przez dolinę,
Budząc roślin rój;
Ptaszka, kwiatek i krzewinę,
Na codzienny znój.

I powstaje głos natury,
Z lekkim szumem drzew;
Jak aniołów liczne chóry,
Wdzięczny nucąc śpiew.

Stwórcy swego chwałę głosi,
Wszystkich stworzeń świat;
Czy pogoda, czy deszcz rosi,
Pana wielbić rad.

Gdy Ci, Boże, ziemia śpiéwa,
Ze snu wznosząc skroń;
Którą stroi i odziéwa,
Twa ojcowska dłoń:

Niech i moja pieśń doleci
Przed stolicę Twą,
Niech i moje oko świeci,
Najwdzięczniejszą łzą!

Wszakże człowiek to stworzenia
Najcudniejszy twór:

Jemu dzień się z nocą zmienia,
Dlań Twych darów zbiór.

A jak zorzy zabłyśnienie
Czarną zwiéwa noc,
Tak mych smutnych dni wspomnienie,
Twa niech zetrze moc.

Niech przed blaskiem lepszéj doli
Zniknie bólu cień,
I w Twéj błogiéj dla nas woli
Złe na dobre zmień.

Twoja dobroć świat okrywa
W nowy życia strój,
Lecz gdy pracą się zdobywa
Odmartwiania zdrój.

Więc błogosław i daj siły
Na konieczny trud,
Daj, by w życiu mi świeciły
Prawdy świętych cnót.

Boże! ogień Twéj miłości
Zapal w duszy méj,
I w głąb' serca dla ludzkości,
Poświęcenie wléj.

Czynów, uczuć mych wyrazem
Pragnę wielbić Cię!
Boże! w tłumie stworzeń razem
Błogosław i mnie!

Augustyna Stańczykiewicz.

SZLACHETNA ANUSIA.

I.

Kto bywał kiedy w okolicach, po drodze do Krakowa leżących, zna zapewne i Kielce, tę poczciwą i schludną mieścinę, leżącą wśród czarownych na wszystkie strony krajobrazów, równie zapewne pięknych jak owe sławione Szwajcarskie góry i doliny, a stokroć milszych, bo swojskich, bo naszych. Kto raz był w Kielcach, ten bezwątpienia z bijącém od wzruszenia sercem wspomni cudny widok *Kadzielni*, *Karczówkę*, z klasztorem na wspaniałéj górze zewsząd drzewami zarosłéj, fabryczne zakłady *Białogońskie*, wdzięcznie otoczone laskiem, starożytne *Chęciny* z łomami pięknego krajowego marmuru,—a daléj znowu *Łagiewniki*, *Busk* z wodami na różne choroby oddawna sławionemi, *Chmielnik* i inne cudnie piękne strony, których kącik każdy zasługiwałby na oddzielny opis obszerny. Ale nie o tém mówić miałem i tylko chwilowo miłém uniesiony wspomnieniem, zboczyłem od mego opowiadania, do którego też i powracam niebawem.

W Kielcach, niegdyś wójewódzkiém, następnie gubernialném, a obecnie powiatowém mieście, mieszkał pan Antoni Kalicki z żoną i pięciorgiem drobnéj dziatwy, którą w bogobojności i najpoczciwszych wychowywał zasadach. Pan Kalicki był urzędnikiem w powiecie; człowiek surowych obyczajów, prawy i nieugięty, przy niewielkiém, jakie zajmował stanowisku, potrafił zyskać sobie szacunek powszechny, jaki się należy zacnemu charakterowi i uczciwości niepokalanéj; miał wprawdzie skromne bardzo dochody, ale nie wiele też i potrzebował, *umiejąc poprzestać na małém, zastosować swe wydatki do przychodów*, co największą podobno jest sztuką w życiu człowieka. Mały domeczek państwa Kalickich, gdzie wzorowa panowała czystość i porządek, gdzie swar, lub niezgoda nigdy nie zakłóciły spokojnego i przykładnego życia zacnych małżonków, był wzorem prawdziwego szczęścia,—raju na téj ziemi. Ale cóż jest trwałego u ludzi?—Czy widzieliście kiedy, żeby komu życie całe spłynęło bez chmurki, jak wiosenny dzionek jasny? Mądra Opatrzność umyślnie tak urządziła, aby po smutkach i cierpieniach doznanych, tém słodszemi wydały się pociechy, —aby człek nie zapomniał ani na chwilę, że Wielki i dobry Stwórca czuwa nad losem każdéj istoty, rządząc nim według swéj przedwiecznéj Mądrości, a nie według znikomych zachcianek człowieka. Rodzinę Kalickich ciężkie dotknęło nieszczęście; pan Antoni zapadł nagle na zdrowiu i w kilka tygodni umarł, pozostawiając żonie i sierotom za całą spuściznę imię poczciwe, maleńki domeczek, dwie morgi gruntu i dwadzieścia siedm lat zasług w urzędowaniu.

Pani Kalicka, za radą szczerych przyjaciół nieboszczyka męża, zapożyczywszy na swe mienie 150 rubli, pojechała do Warszawy, gdzie spodziewała się przyspieszyć wyjednanie sobie emerytury, to jest pensyi dożywotniéj po ś. p. mężu swoim, przy pomocy dawnego jego szkolnego kolegi, który znaczne w stolicy zajmował stanowisko. Powierzywszy dzieci opiece doświadczonéj przyjaciołki i najbliższéj sąsiadki pani B*,

biedna wdowa puściła się w daleką podróż, do nieznanego sobie wielkiego miasta.

Po kilkodniowéj utrudzającéj podróży z furmanami, przybyła nareszcie Kalicka do stolicy późno w nocy i zatrzymała się w Radomskim Zajeździe na Grzybowie, zkąd zaraz następnego dnia rano wyszła na miasto za interesami.

II.

Na Chłodnéj ulicy, nieopodal od Kościoła Świętego Karola Boromeusza, od kilku lat w jedném i témże samém miejscu istnieje zakład szewcki Ambrożego Skórki, uczciwego i zacnego człowieka, który mozolną pracą, przy bogobojném i poczciwém życiu, dorobił się na swém rzemiośle skromnego majątku tak, że na własność mógł nabyć ładny domek ze sporym ogrodem pod Wolskiemi rogatkami, i dać sobie odpoczynek na stare lata, tém więcéj, gdy w zarządzeniu zakładem zastępował go już jedynak, dorodny, poczciwych obyczajów, młodzieniec pan Adam, przed dwoma laty u ojca na czeladnika wyzwolony.

Skórka za młodu chodził na wędrówkę i przez lat kilka dla wykształcenia się w swym fachu przebywał u najlepszych wiedeńskich majstrów. Wyszedł był z kraju i powrócił razem z niejakim Stanisławem Koruniem, z którym wyterminował u jednego majstra, razem się wyzwolił, a następnie w jednym ożenił się czasie i do śmierci w najlepszéj pozostawał przyjaźni. Koruń umarł we dwa lata po ślubie, żona wydawszy na świat córeczkę, poszła za nim do grobu:— sierotę Anusię wzięli do siebie Skórkowie i jak własne wychowali dziecię.

III.

Pani Kalicka wyszedłszy raniuteńko z zajazdu, dążyła na Żelazną ulicę, gdzie mieszkał dawny kolega jéj męża. Doszedłszy na plac Świętego Karola Boromeusza, wstąpiła do kościołka, chcąc od Boga zacząć swe sprawy; pomodliwszy się krótką chwilę ze wzruszeniem, otarła pospiesznie łzy obficie z oczu jéj płynące i wyszła dążąc do owego opiekuna.

Wyjmując z kieszeni chustkę, pani Kalicka wyrzuciła woreczek z całym swym majątkiem w gotowiźnie..... biedna wdowa! jakież ją ciężkie czekało strapienie!

Lecz Bóg miłosierny nie dopuścił krzywdy sierot; pieniądze zgubione przy ołtarzu przez nieszczęsną wdowę; znalazła wkrótce po jéj wyjściu przybyła na mszę ranną Anusia.

Podniósłszy z ziemi woreczek otworzyła go, a zobaczywszy dużo pieniędzy, zadrżała z radości, że będzie mogła sprawić pociechę poszkodowanemu i natychmiast odniosła do zakrystyi kościoła, prosząc o ogłoszenie z ambony, celem wynalezienia prawego właściciela.

Powróciła niedługo strapiona pani Kalicka do kościoła szukając swéj zguby; dowiedziała się o znalezieniu swych pieniędzy, a udowodniwszy własność, odebrała z rąk szanownego kapłana, lecz nie wiedziała komu zawdzięczać ma tak szlachetny względem niéj postępek; ksiądz nie znał także młodéj uczciwéj znalazczyni....... Bóg ją znał tylko i On jeden wiedział o postępku Anusi, bo Bóg dobre uczynki ludzi, jak perły zbiéra i tworzy z nich najozdobniejszy sznur rzetelnéj zasługi, mającéj prawo do nagrody wiecznéj w przyszłém życiu.

Otóż i koniec mojego opowiadania; jeśli w niém czego jeszcze niedostaje, to pewny jestem że dusza twa, kochany czytelniku, resztę ci dopowié; ja z méj strony, dla zaspokojenia jedynie ciekawości waszéj to tylko dodam, że pani Kalicka wyrobiwszy sobie emeryturę, przy pomocy zacnego protektora, powróciła do Kielc, aby się oddać wychowaniu swych drobnych dziatek; — Anusię zaś poślubił Adam Skórka jedyny syn i dziedzic jéj dobroczyńców, lecz o szlachetnym jéj postępku nigdy się nie dowiedział.

Czy Anusia była dobrą żoną? – Odgadnąć nie trudno. *J. K.*

PRZYPOWIEŚĆ

O RÓŻNYCH STANACH.

Będąc dzieckiem, słyszałem następną przypowieść, którą się dzielę z Czytelnikami.

Kiedy Pan Bóg stworzył Adama, dał mu dziewięć darów.

Dary te są następujące: 1) dusza nieśmiertelna. 2) rozum. 3) uczucie. 4) wola i pięć zmysłów: wzrok, słuch, czucie, powonienie i dotykanie.

Dużo czasu upłynęło, i potomkowie Adama, ludzie prości, rolnicy i pasterze, z tych dziewię-

ciu darów Bożych byli zadowoleni. Aż po wielu latach zaczęto budować pierwsze miasto na świecie. Pierwszy mieszczanin, który się uważał za coś wyższego od wieśniaków, rzekł do siebie:

— Jakto? ja miałbym być na równi z prostym rolnikiem, co mieszka w nędznéj chałupie i w płótno się ubiera! Jeżeli on dostał 9 darów, to ja powinienem ich mieć dwa razy tyle, to jest 18. I drudzy mieszczanie zaczęli tak samo myśleć, i tak powstali mieszczanie.

Ludzie coraz się bardziéj rozmnażali, nastały niezgody a z niezgodami i wojny. Jeden z tych, co się bili za spokojnych wieśniaków i mieszczan i co się najwięcéj odznaczył na wojnie, pomyślał sobie w duchu:

— Jakto! ja co krew wylewam śród bojów, co jeżdżę na koniu i długi miecz u pasa noszę; ja miałbym być na równi z mieszczuchem, co w domu siedzi przy piecu? Jeżeli on dostał od Boga darów 18, to ja ich powinienem mieć dwa razy tyle, a więc 36. I inni wojownicy tak samo zaczęli myśleć i powstał na świecie stan trzeci, rycerze, a z nich szlachta.

Upłynęło znowu dużo czasu, aż pierwszy rycerz, co wystawił wiele ludzi do boju i bardzo się zbogacił na wojnach, zbudował sobie wspaniały, wielki zamek i patrząc z wieży zamkowéj na wsie i miasteczka, leżące nizko, w dolinie, tak rzekł do siebie:

— Jakto! ja, który jestem tak bogaty, mam pyszny zamek, tyle ludzi i dobytku własnego; ja miałbym się równać z prostym szlachcicem, co tam na jednym koniu wyciąga w pole, do bitwy? Przynajmniéj dwa razy tyle darów mieć powinienem co on, a więc dwa razy po 36, to uczyni 72. I rycerz ten zaczął się nazywać panem, i ztąd powstał stan czwarty na świecie, to jest wielcy panowie.

A jeden z tych panów, który został wojewodą pomnożył sobie dary zwykłego pana przez 2 i liczył ich sobie 144.

Tak sobie liczyli, ale jakiś mędrzec wytłómaczył to inaczéj twierdząc: „iż na sądzie ostatecznym Bóg najwyższy Sędzia liczyć będzie w ten sposób, iż wszystkie liczby ludzkie dodawać do siebie, a nie mnożyć będzie tak, że dary mieszczanina 1 i 8 uczynią 9, dary rycerza 3 i 6 także uczynią 9, tak jak dary innych stanów dodawane do siebie zawsze tylko liczbę 9 złożą, to jest tyle ile Bóg dla każdego człowieka naznaczył.

Z téj to liczby sprawę kiedyś zdać będzie trzeba, ludzkie zaś rachuby częstokroć mylne bywają.”

J. G.

POGADANKA.

O świecie i o wszystkich rzeczach, które na nim są.

Księżyc: wielkość i światło jego; co znaczą plamy na nim, różne o tém bajki?

Piękny i cichy był wieczór niedzielny w miesiącu Sierpniu. Zdala odezwał się chór grzechoczących żab; słońce co tylko znikło na zachodzie; złociste chmury płynęły nad niém, a po drugiéj stronie nieba, na wschodzie, powstał najprzód skrawek czerwony, a powoli i cała się twarz księżyca wytoczyła w górę nad wioską.

Wiejska gromadka, jak zwykle w dzień świąteczny zebrana przed domkiem Nauczyciela, skończyła gwarzyć i mimowolnie każdy z obecnych podniósł oczy w górę, gdzie na czystém niebie złoty księżyc jak rybie oko błyszczał i spoglądał na ziemię; Sajenka coś rozpowiadał i palcem wskazał ku niebu.

— Nie pokazuj tam palcem, odezwał się Rozpendek, byś śmierci ojca nie wywołał.

Na to uśmiechnął się jakoś niedowierzająco Sajenka, a Nauczyciel odwróciwszy się na swéj ławeczce w tę stronę, zapytał również z uśmiechem:

— A co tak sobie pokazujecie, i czém to śmierć ojca wywołać można?

— Oto, proszę pana Nauczyciela, rzekł Sajenka, ja pokazywałem im te ciemne plamy na miesiącu, i powiedziałem, jak to ludzie bają, że one są na pamiątkę zabójstwa, jak to kiedyś brat brata w zapalczywości nadział widłami. Drudzy odpowiadali mi, że to tam Kain nad zabitym Ablem do sądnego dnia musi stać z pałką; a jeszcze inni wtrącili, że to stoi tam gospodarz z widłami za karę, że w samo Boże Narodzenie, w tak wielkie święto mierzwę z chlewka swego wyrzucał. A Rozpendek na to mi wszystko doradził, żebym nie pokazywał palcem na miesiąc, bo mi przez to ojciec może umrzeć!

Kto tu prawdę mówi, radbym wiedzieć, i dlatego może pan Nauczyciel z łaski swojéj nam wszystko to wyjaśni?

— Z miłą chęcią, mój bracie, opowiem wam i objaśnię o tych nadziemskich rzeczach, boć zgłębianie tego wszystkiego, co nas otacza, podnosi nam serce, uszlachetnia duszę i przyda się każdemu, a to tém więcéj, że powoli będę wam chciał rozpowiadać i o bliższych nas ziemskich rzeczach, a więc i o chmurach, wodzie, rosie, mgle, i o deszczu i o śniegu i o roli, którą uprawiacie własnemi rękami; ale żeby te ostatnie rzeczy dobrze zrozumieć, trzeba wprzódy mieć wyobrażenie o tém, co nam użycza światła do pracy, i co czas i zatrudnienia nasze rozdziela i porządkuje, i co nam właśnie ten deszcz lub rosę sprowadza. A więc poznanie słońca, ziemi, księżyca, ich obrotu, i wpływu na życie ludzi, zwierząt i roślin, uważam za najpierwsze rzeczy w naszych gawędach. Powoli przyjdziemy do coraz bliższych i drobniejszych przedmiotów, które co krok widzimy przed sobą.

Że to jest wierutną bajką, gawędka o tych widłach, o tym Ablu, tak jak i o twarzy z oczami i nosem na księżycu, to sami się przekonacie, gdy zrozumiecie to, co wam opowiem i rozjaśnię; bo tylko człowiek ciemny wierzy w bajdy podobne, a umiejętny łatwo prawdę od błędu rozezna. Otóż, słuchajcie mnie uważnie.

Księżyc nie ma swego światła tak jak słońce, ale właśnie tylko z odbicia promieni słońca jest oświeconym, i błyszczy tam w ciemności, bo widzi dobrze słońce z góry, choć my go z dołu, odwróceni z ziemią od niego nie widzimy. To możemy sobie wyobrazić tym sposobem: gdy weźmiemy blachę wypolerowaną i ustawimy ją przed ogniem na kominku, lub przed świecą, to blacha ta wydawać się nam będzie, jak gdyby jaśniała własnym blaskiem. Tak samo, gdy otworzymy drzwi od ciemnéj komory do izby oświeconéj przez okno słońcem, to i w téj komorze będzie dosyć jasno, przez *odbicie się światła* z izby, choć do komory słońce nie dochodzi. Zresztą widzicie to dobrze, że księżyc nie ma sam z siebie światła, bo raz jest prawie cały ciemny, a drugi raz jasny.

— A dlaczegóż to i chmury nad nami w nocy nie świecą, zapytał podchwytliwie Sajenka, przecież i one widzą tam w górze słońce?

— Bystra uwaga, ani słowa! rzekł Nauczyciel ucieszony, ale właśnie te chmury nie widzą słońca w nocy, bo one są daleko niżéj od księżyca, gdyż księżyc oddalony jest od nas prawie o 52,000 mil, a najwyższe, najrzadsze obłoczki nie daléj są od nas jak o 9,000 mil. A więc wypukłość ziemi naszéj zakrywa chmurom w nocy pod nami świecące słońce, boć i chmury téż się zaokrąglają do koła ziemi. Inaczéj, gdyby chmury były tak wysoko jak księżyc, to w nocy widziałyby słońce i świeciłyby przez odbicie światła słonecznego podobnie jak kiężyc. Ludzkiemu gołemu oku tylko tak się wydaje, że chmury są na równi z księżycem, a rzeczywiście przecież sami to nieraz widzicie, iż za księżycem chmur nie ma, tylko zawsze poniżéj niego przeciągają niby szare ptaki, i wydaje nam się wtedy, że to księżyc tak ucieka szybko, a to jest *złudzenie oka*, bo przeciwnie chmury to tak uciekają.

— Ciekawym tylko, rzekł Skiba, pocierając sobie czoło, po co tam są te góry i doliny na księżycu?

— Zapewne musi ich być dobre przeznaczenie, tak jak wszystko na świecie jest stworzone na jakiś użytek, odpowiedział Nauczyciel. A więc i księżyc musi być tam rzucony w świat nie dla samego tylko świecenia nam na ziemi, ale pewnie i dla stworzeń jakichsiś, które na nim może żyją.

To tylko pewna, że choć jest on podobnéj natury jak ziemia nasza, jednak że nie ma wody na sobie i powietrza tak gęstego jak nasze do około siebie, więc téż tacy sami ludzie jak my, żyć tam nie mogą, bo ludzkie płuca potrzebują powietrza, a ciało i żołądek wody. Ale cóż jest niepodobnego dla mocy Bożéj? Jeżeli na ziemi są stworzenia niektóre, co się bez wody obejść mogą, to czemużby i na innych światach nie mogli żyć jacy ludzie stworzeni od nas inaczéj? Tego jeszcze uczeni nie docieklí, ale powoli, Bóg to wie, czy nie dojdą i do przekonania się o tém. Rozum nasz może wiele dokazać, jeżeli się zasilać będzie łaską Bożą i pokorą w obec Niego, jeżeli przez swe dociekania chce się coraz więcéj przekonywać o niezmierzonéj Wszechmocy i Mądrości Stwórcy, jeżeli, mówię, człowiek, przez swój rozum będzie wciąż szukał jedynego Boga....

Zamyślili się wszyscy; słychać było ciche westchnienia, aż Nauczyciel przerwał milczenie, mówiąc:

— Na tém dziś kończę, na przyszły raz zapraszam was wcześniéj, bo dużo jeszcze mamy do pogawędzenia z sobą.

RÓŻNE — RÓŻNOŚCI.

O niszczeniu gniazd ptasich i zabijaniu żab. — Miliony drobnych ptasząt, które rozweselają nasze lasy i ogrody, są bardzo potrzebne dla naszych wiejskich gospodarstw z tego powodu, iż tępią niezliczone mnóstwo liszek, które inaczéj pożarłyby nam kapusty w ogrodach, a liście i kwiecie po sadach i lasach. Drzewo bowiem, straciwszy liście i kwiat przedwcześnie, nietylko, że nie rodzi, ale jeszcze usycha. Szczęściem, ludność nasza kierując się dobrém sercém, oszczędza wiele gniazd ptasich, rzadziéj téż u nas zdarza się niszczenie jajek i ptasząt młodych, niż w innych krajach, ale i ta swawola choć rzadka lub łowienie sikor, zięb i t. p. gromadami na lep lub sidła,—powinny być zaniechane, tém więcéj, gdy ptaszki te trzymane w domach giną jak muchy.

We Francyi pracują ludzie uczeni i rozsądni bardzo nad tém, aby niektóre zwyczaje niszczenia gniazdek przez chłopców wykorzenić zupełnie i obudzić litość ku zwierzętom; mówią oni: „że Bóg nam nie dał dwóch serc; jednego okrutnego dla zwierząt, a drugiego dobrego dla ludzi.” Istnieje tam bowiem zwyczaj po wielu wsiach, że chłopcy polują w lesie na gniazdka, a jak je odkryją, to kładą je na ziemię, i zamknąwszy oczy, grając nibyto *w ślepą babkę*, machają kijem, aż natrafią na gniazko i tłuką jajka lub zabijają młode. Według innego znowu również nagannego zwyczaju, chłopcy tamtejsi pastwią się nad żabami i obdzierają ze skóry, co prócz tego, że jest okrutném, jest jeszcze szkodliwém, bo i żaby, nawet owe ropuchy, niszczą także robactwo po ogrodach. U nas téż się to trafia, że chłopcy pastwią się nad ropuchami, sądząc w głupocie, że to jakieś czarownicze stworzenie, że zna się z gadzinami, które choćby na kawałki posiekane przez człowieka, potrafi znowu ropucha po zachodzie słońca posklejać i gadzinę odżywić. Tak to niedorzecznie sądzą!

Ale wracamy się do gniazd ptasich. Otóż we Francyi ludzie uczeni piszą, że niegdyś, kiedy to jeszcze nie było tam w zwyczaju zabijać i tępić bez litości po wsiach słowiki, sikory, szczygły, makolągwy, czeczotki, zięby, dzwońce, skowronki, mysie-króliki i t. p., to liczono każdéj wiosny najmniéj po 10,000 gniazdek w kraju na każdą milę *kwadratową* (to jest wszerz i wzdłuż jednakową). Wiadomo że w każdém gniazdku lęgną się najmniéj cztery młode. A że się przekonano, iż samiec lub samica dla każdego młodego przynosi dziennie po 15 liszek (gąsienic) i że samiec i samica zjadają po 60 innych liszek na siebie, więc to czyniło razem po 120 liszek na pożywienie dla każdego gniazdka. Jeżeli teraz rozmnożycie 120 liszek przez 10,000 gniazdek, to razem wypadnie wam 1,200,000 liszek, które ptaki tępią przez jeden dzień, a na jeden miesiąc 30 razy tyle, czyli 36,000,000.

Trzydzieści milionów liszek!—czyż pomyślano, że jeżeli się nie uszanuje życia wszystkich tych ptasząt stworzonych przez Pana Boga, to te trzydzieści sześć milionów liszek z kolei mnożąc się corocznie, zjedzą z czasem wszystkie liście, kwiat, owoc drzewin i wszystkie ogrodowizny i wszykie zioła ozdobne!

Co to ztąd za przestroga dla rolników!

Dowcipna Marysia. — Jedna pani obiecała swojéj służącéj Marysi, że jéj da na posag pięć dukatów, jak będzie szła za mąż. Marysia tém się chwaląc, niedługo znalazła męża, który był bardzo szczupły i małego wzrostu.

Po weselu przedstawiła go swéj pani; ta spojrzawszy na niego, rzekła: — Cóż to? jakżeś ty mogła brać tak małego męża?

— Proszę pani, odpowiedziała Marysia, —za pięć dukatów nie mogłam żądać większego.

ZAGADKA.

Co to jest?

Ma cztery nogi,—a nie zwierz,
Ma puch i pióra,—a nie ptak,
Ma ciało i duszę,— a nie człek?

Znaczenie poprzedniéj zagadki: *Brody*, raz jako zarost na twarzy, a drugi raz jako miasto na granicy Wołynia, bardzo handlowe i liczące 30,000 mieszkańców.

Redaktor i Wydawca, **Józef Grajnert.** — w Drukarni Gazety Polskiéj. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.